

Ks. Jan Sochoń: Wcielenie, czyli Bóg Pokorny

Przestrzenią, w której rzeczywiście stykamy się z Bogiem jest miłość, a Bóg dąży do spotkania z nami poprzez Wcielenie, w Chrystusie stanowiąc z nami jedno. Dzięki temu Bóg włącza się w ubóstwo człowieka – pisze ks. Jan Sochoń w „Teologii Politycznej Co Tydzień”: „Wcielenie. Zbawienny paradoks”.

Miłość jest ubóstwem, zależnością, pokorą.

François Varillon

Tytuł mojej wypowiedzi jest piorunujący, zbijający z tropu. Powinienem od razu dać za wygraną i odesłać Czytelników do Ewangelii, dokumentów kościelnych bądź opracowań teologicznych. Nie mogę jednak tego uczynić, ponieważ sprawa dotyczy i mnie osobiście. Muszę, doprawdy muszę, sam poradzić sobie z tajemnicą Boga, który zechciał być człowiekiem i zamieszkać pod ziemskim namiotem. Powinienem więc tak wyostrzyć rozum i wzmocnić wiarę, aby dzięki ich symbiozie móc podążać śladami słów, z których utkano Pismo Święte. Chrześcijaństwo bowiem nakłania do dwóch egzystencjalnych rozstrzygnięć, mianowicie do przyjęcia orędzia objawienia oraz poświadczenia jego treści swoim konkretnym działaniem. Wiara w to, co niesie słowo Boga ma profilować ludzki styl życia i odnoszenia się do bliźnich. Gdy tego nie czyni, staje się kolorową błyskotką bez znaczenia.

*Nie warto poszukiwać Boga na
innej drodze, niż duchowa, gdyż
porządek transcendentny
wyklucza materialny i przygodny
sposób istnienia*

Nic przeto dziwnego,
że wielu
współczesnych traci
ochotę na zgłębianie
religijnej problematyki,
uznając się za osoby
obojętne na konfesyjne
wzorce życia. Skoro

Bóg niczego w nich, jak przekonują, nie zmienia, nie warto się Nim w ogóle interesować, ani – tym bardziej – reagować na istnienie Kościoła, zwłaszcza kościelnej hierarchii, której reputacja ostatnimi czasy została wyjątkowo dotkliwie nadszarpnięta. Oznacza to jednak tylko tyle, że nie znajdują oni w sobie na tyle siły, na tyle wewnętrznych impulsów, żeby wyruszyć w drogę, otworzyć się na płynącą z wielu stron łaskę. Bóg przecież, choć jest niewidzialną istotą, ma naturę duchową (*intellectualis*, jak to by nazwał Orygenes), poprzez swoje czyny (*vestigia Dei*) ujawnia to, kim jest. Nie warto poszukiwać Boga na innej drodze, niż duchowa, gdyż porządek transcendentny wyklucza materialny i przygodny sposób istnienia. Skoro istnienie i istota w Nim się utożsamiają, nie sposób wyobrazić sobie, by Bóg mógł przybrać jakąś postać fizykalną, wejść w najbardziej niski, bytowo ograniczony stan, o którym starożytni filozofowie powiadali, że przypomina proch będący na granicy nieistnienia.

Czuły gest Boga

Chrześcijanie tymczasem odważają się z całą stanowczością twierdzić coś zupełnie przeciwnego. Przyjmują mianowicie wizję wszechświata z miłości stworzonego przez Boga, który zapragnął, by Jego stworzenia, wolne i narażone na grzech, mogły osiągnąć wyzwolenie i odkupienie. W zaskakujący

jednak i trudny do pojęcia przez ludzki umysł sposób. Oto Trójjedyny Bóg (co samo w sobie stanowi powód zarówno do zachwytu, jak i do sprzeciwu) decyduje się na akt wcielenia, a wyrażając się bardziej precyzyjnie, swego Syna posyła na ziemię, by jako Bóg-Człowiek podjął zbawczy czyn Krzyża, przezwyciężając śmierć i w ten sposób otwierając przez ludzi szansę wejścia w wieczną obecność Stwórcy.

Wydarzenie to nie dzieje się z zaskoczenia. Zostaje poprzedzone licznymi sygnałami, iż należy ono do Bożego zamysłu, w zagadkowy sposób zapowiedzianego zanim został zrealizowany. Zwłaszcza śmierć i zmartwychwstanie Jezusa nie byłyby wiarygodne, gdyby nie został dany żaden znak. Ale został dany, gdyż Biblia mieni się od najróżniejszych przeczuć, oczekiwań, nadziei. Wspomnijmy tylko zapowiedzi proroków czy sygnał dany Maryi, że zostanie Matką Boga: „Oto Dziewica poczne i porodzi Syna, któremu nadadzą imię Emmanuel, to znaczy Bóg z nami” (Mt 1, 18-24). Należy ten fakt rozpoznawać jako czuły gest ze strony Stwórcy, który w ten sposób oznajmia, że kocha swoje stworzenie i nie może się pogodzić z panowaniem grzechu w ziemskiej rzeczywistości.

*Nie wystarczy nam chyba lat,
żeby uświadomić sobie tę prawdę
do głębi, że Bóg zechciał przyjąć
tak mizerny sposób istnienia*

Obwieszcza również,
że Maryja odegra
wyjątkową rolę w
historii zbawienia. Jest
bowiem rzeczą
całkowicie zrozumiałą,
że tej Świątyni Ducha

Świętego, by użyć trafnego określenia św. Ambrożego z Mediolanu, wyznaczona została przez Opatrzność szczególna rola. Po wypowiedzeniu słów „Niech mi się stanie według słowa twego” (Łk 1, 38), Maryja została włączona w tajemnice Trójcy Świętej i z chwilą Poczęcia zaczęła uczestniczyć

w czuwaniu nad Bożym planem Zbawienia. Wkroczyła więc w sferę paradoksów i dzięki temu, podobnie jak sam Bóg, rzuciła wezwanie naszej wierze[1]. Dlatego nie wystarczy nam chyba lat, żeby uświadomić sobie tę prawdę do głębi, że Bóg zechciał przyjąć tak mizerny sposób istnienia. Mógł oczywiście inaczej całą rzecz rozegrać, inaczej zbawić człowieka, lecz postanowił w pokorze i uniżeniu Syna przemówić do świata, wyjść z odwiecznego milczenia. Z tego względu Wcielenie zapoczątkowało w zupełności nową rzeczywistość nie tylko w wymiarze naszego osobistego życia, ale też w całym kosmosie. Powinniśmy jednak zgodzić się na tego rodzaju „egzystencjalny paradoks” i odważnie, w pokorze właśnie, uznać w Chrystusie, i Boga, i człowieka.

Ale na to potrzebne jest, jak wspomniałem, całe życie, ponieważ jesteśmy słabi. Czy wzrok spoglądający wyniosłe, może być wzrokiem miłości? Czy życie społeczne, rozwijające się w politycznych ciemnościach, w zawistnych kłótniach, w braku wzajemnego poszanowania, umożliwi osiągnięcie spodziewanego porozumienia? Teraz jednak (czas wiary jest zawsze czasem teraźniejszym), kiedy Bóg obiecuje, że wszystkim, którzy przyjęli Boże słowo, da moc i szczęście, oddalajmy te niełatwe pytania, co nie oznacza, że nie będziemy poszukiwali na nie mądrej odpowiedzi.

Ubogie misterium Wcielenia

Narodzenie Jezusa w betlejemskim ubóstwie to bolesne uderzenie w naszą dumną świadomość. Poszukujemy wszak Boga, wypatrując kogoś wszechpotężnego, na wzór pogańskich wyobrażeń. Popatrzmy na zachowania uczniów Jezusa, a więc tych, który bezpośrednio, naocznie widzieli, kim jest i ku czemu zmierza. A jednak nie potrafili przezwyciężyć ciśnienia płynącego z tradycji religijnych, obyczaju, oczekiwań politycznych. Bóg nie może cierpieć,

nie może unżyć się przed człowiekiem, po prostu musi być Bogiem „potężnych zastępów”, twierdzili z narastającym niepokojem. Musi dokonać rewolucji, przynieść nam i wszystkim Żydom, oczekiwany gospodarczy i społeczno-kulturowy cud.

Ale Bóg nie daje się wciągnąć w ziemskie intrygi, o wyraźnie szatańskim wymiarze. Podąża drogą, która Go zaprowadzi wprost na Golgotę. Wie przecież, że miłość oznakowana egoizmem nie może być autentyczną miłością. A Bóg jest Miłością, jest zatem pokorny, ubogi, rzec wypada w duchu papieża Franciszka, peryferyjny. Oczywiście, w ten sposób nie pozbawiamy Boga rysu „Wszechmocności”, do którego odnosimy się w naszym chrześcijańskim *Credo*. Pojmujemy tylko, że w tym nazewnictwie nie chodzi o zdolność do czynienia wszystkiego, czego się zapagnie. Wskazany aktywny termin wskazuje na aktualizację owej zdolności w perspektywie królewskiej władzy, majestatu, autorytetu i transcendencji. Przywołuje także stwórczą aktywność i opatrność Boga, który „trzyma” cały wszechświat. Ma on najpierw pewne znaczenie kosmiczne, które następnie nabiera sensu politycznego. Oto, co będą się starały przedstawić wschodnie ikony.

*Pokora miłości wskazuje klucz:
nie trzeba wiele potęgi, żeby się
uzewnętrzyć, natomiast trzeba
jej wiele, żeby pozostać w ukryciu*

Joseph Ratzinger pisał
w związku z
powyższym, że
problem
chrześcijańskiego
obrazu Boga pociąga
za sobą „napięcie

między absolutną mocą i absolutną miłością, między absolutnym oddaniem i absolutną bliskością, między Bytem absolutnym a uwagą zwróconą na to, co najbardziej ludzkie w człowieku”[2]. To jest oryginalny, niepowtarzalny, powodujący dosłownie zawrót głowy, ton Boga, który

pozostaje wszechmocy jedynie i tylko w miłości. Właśnie Wszech-Niemoc Kalwarii objawia prawdziwą naturę Wszech-Mocy nieskończonego Bytu. Pokora miłości wskazuje klucz: nie trzeba wiele potęgi, żeby się uzewnętrznić, natomiast trzeba jej wiele, żeby pozostać w ukryciu[3].

Przytoczywszy zdania wybitnych teologów, mam już chyba prawo do wypowiedzenia własnego poglądu, wywiedzionego z intymnych drgań umysłu i serca, a zatem z prywatnego doświadczenia. Najpierw więc sam siebie przestrzegam, żeby przydając Bogu pokory nie popadać w podwójną skrajność, to znaczy, nie dostrzegać w Nim chłodnego egoisty na wzór Absolutu Arystotelesa, wiecznie intrygującego się samym sobą, ani – tym bardziej – wyobrażać Go sobie jako kogoś wstydliwie ukrywającego się przed ludźmi, nieśmiałego, przesadnie unижonego. Taki obraz Boga pozostaje zwykłym urojeniem. Przestrzenią, w której rzeczywiście stykamy się z Bogiem jest miłość, a Bóg dąży do spotkania z nami poprzez Wcielenie, w Chrystusie stanowiąc z nami jedno. Dzięki temu Bóg włącza się w ubóstwo człowieka. Oznacza to, że choć nie zostają naruszone ontologiczne więzi Boga ze stworzeniem, to jednak sam fakt Wcielenia należy rozpatrywać przede wszystkim w wymiarze duchowym, w porządku miłości, przechodząc od pojęcia Boga Wszechmogącego do pojęcia Boga uwielbianego jako miłość. On przecież kocha nas miłością pozbawioną splendoru wynikającego z boskości. Wystarczy przyrzeć się reakcjom Jezusa, który lituje się, wzrusza na widok cierpiącego człowieka. Trudno oddać znaczenie greckich słów, przytaczanych przez ewangelistów. Wyrażają one najmocniej w języku greckim współlitościwą obecność, współ-cierpienie, współ-boleść, aż do granic wyobrażenia. W głębi miłości możliwe jest jednak wszystko, nawet i to, że w Bogu cierpienie staje się źródłem miłości.

Wydaje się, że cierpienie i upokorzenie znajdują uzasadnienie w osobistym wyborze Chrystusa. I nawet u św. Jana, który podkreśla majestat wiecznego Słowa, znajdujemy wyraźny akcent położony na kenozę Chrystusa (J 13, 27-30). Chciał On bowiem – wyrażając swoim działaniem najgłębiej tajemnicę miłości – wraz z człowiekiem przejść drogę cierpiącego Sługi Jahwe[4]. Nic przeto dziwnego, że Wcielenie otwiera zupełnie niespodziewane perspektywy przed człowiekiem. Uświadamia mu jego godność, ontyczne związanie ze Stwórcą, wpisuje w jego krwioobieg nadzieję na życie wyzbyte ościenia zniszczenia, grzechu. I co najbardziej zdumiewające i umacniające, skraca dystans pomiędzy porządkiem transcendentnym a ziemską przygodnością, sytuując człowieka bezpośrednio w polu oddziaływania Boga. Dobrowolne wejście Chrystusa w uniżoność i całkowitą pokorę (dla nas tylko do wyobrażenia) sprawiło, że zyskaliśmy punkt orientacyjny na naszej życiowej drodze. Już wiemy, że Bóg, choć w istocie niepojęty, chce być z nami w sposób bez reszty wyrazisty, wkomponowany w nasz krajobraz, nieodróżnialny od naszej nędzy i biedy. Ujawnia, że świat jest „terenem odkupienia”, gdzie rozstrzygają się ludzkie losy.

Nie trzeba więc specjalnych środków ascetycznych, sama egzystencja, podległa materialnym ograniczeniom, przynosi sposobność naśladowania kenozy Boga, oczywiście w sposób charakterystyczny dla każdej osoby, niosącej w sobie ogień niepowtarzalności i wewnętrznej oryginalności. Maryja z Józefem, zwykli, prości mieszkańcy Nazaretu, zmuszeni do egipskiej tułaczki, przyjmują Nowonarodzonego w obskurnej gospodzie lub w grocie pasterskiej:

Nie chciała nikogo niepokoić
swoją krwią; Józef więc stał
z daleka, czekał, aż będzie mógł

wejść do środka, gdzie Maryja,
powalona na skalnym klepisku,
otula Dzieciątko, które już oddycha,
rozgląda się, milczy.

Jest zimno, brakuje miejsca,
by zwołać sąsiadów i gości,
ale, kogo można byłoby sprosić
w obcej krainie, pośród mrowia
rozbawionych pielgrzymów.

Nie wiedzą. Przyglądają się sobie
z żalem i z tęsknotą, nie dostrzegając,
że Dzieciątko im błogosławi,
święci ich imiona, nas teraz wspomaga[5].

To wszystko sugeruje, że spełniają się zapowiedzi proroków, że miłość Boga przeniknęła i wciąż przenika do najniższych części ludzkiego żywota, że odsłania się największa tajemnica: męka i śmierć Nowonarodzonego, gdyż Jego życie, od urodzenia aż do śmierci, będzie wszczepione w tę odkupieńczą perspektywę.

Komu zatem mamy powierzyć swoje serce? Temu Jedynemu, Ubogiemu, Pokornemu, na którego warto patrzeć i któremu warto oddać się w zupełności. Pięknie zauważył mój duchowy ojciec ks. Piotr Bożyk: Przyjaźń ludzka pogłębia się przez przyjacielskie spotkania. Przyjaźń z Bogiem umacnia się

przez modlitwę, która jest przyjacielskim i miłosnym spotkaniem duszy z Bogiem. Jeżeli serce nie zmienia miłości – miłość przetrwa, zawsze uboga, zawsze narażona na cierpienie. Ale przez to wszechpotężna.

Warszawa-Bielany, grudzień 2018 r.

[1] Zob. R. Przybylski, Homilie na Ewangelię dzieciństwa. Szkice z teologii biblijnej malarzy i poetów, Paris 1990, s. -22.

[2] Podaję za: B. Sesboüé SJ, J. Wolinski, Bóg zbawienia, tłum. P. Rak, Kraków 1999, s. 96.

[3] F. Varillon: Pokora Boga, tłum. ks. M. Figarski, Paris 1982, s. 56.

[4] Piszę o tym szerzej w książce U drzwi Godot. Szkice o poezji, filozofii i teologii, Warszawa 1995, s. 161-172.

[5] ks. J. Sochoń, Poród, z tomu Strzałka czasu, Rzeszów 2017, s. 96.